

Zemsta z za grobu?

AUTOR: MICHAŁ SMOLIS

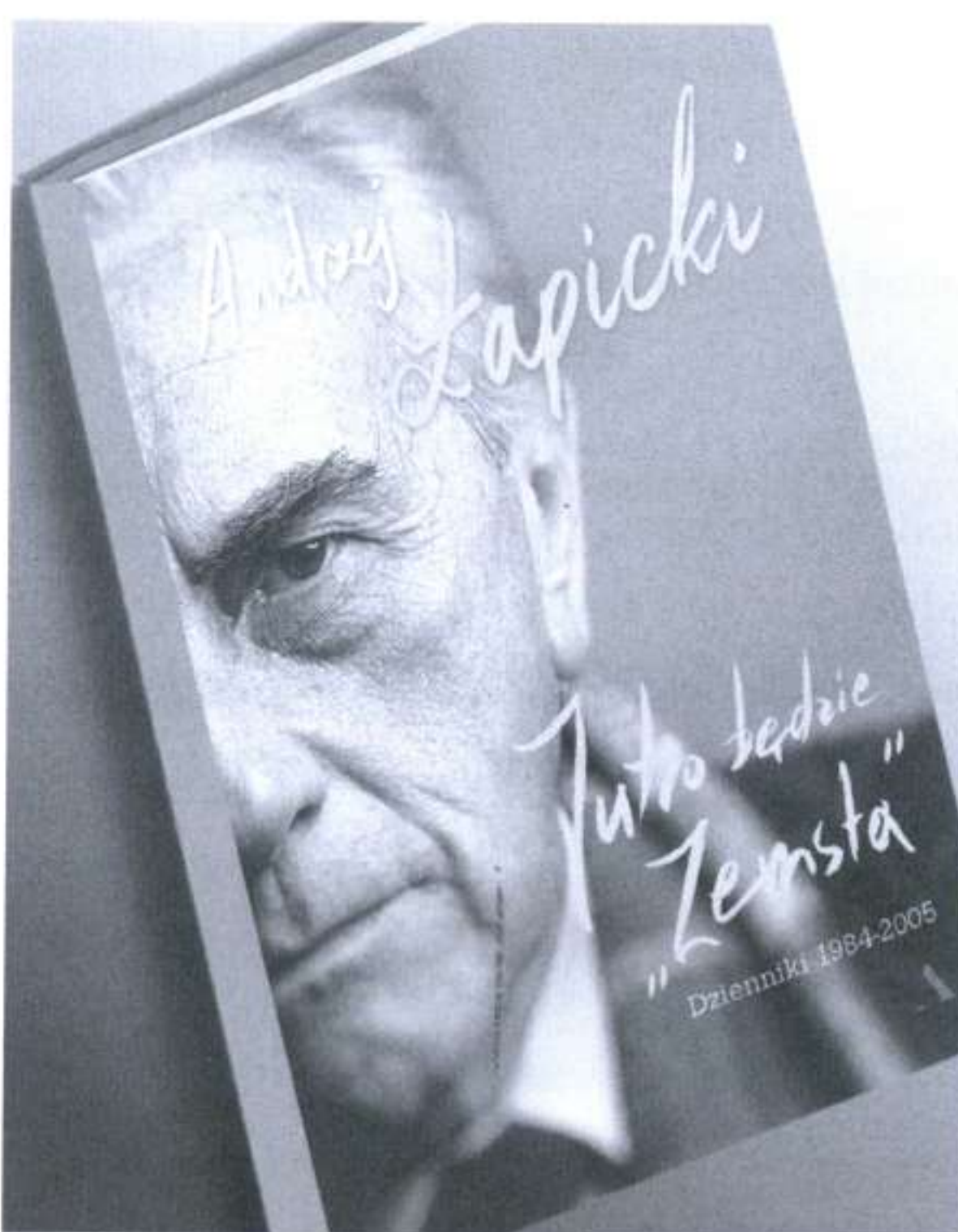
1.

■ „Pamiętaj, zależy mi wyłącznie na *Dziennikach*. Pogrzeb urządź skromny, niech przemówi Janek Englert, nikt więcej, żadnych mów oficjalnych, żadnych odznaczeń, żadnej Alei Zasłużonych. Chcę leżeć z Żoną w rodzinnym, XIX-wiecznym grobie na Powązkach. Natomiast później, z za grobu, chcę przepieprzyć wszystkim *Dziennikami*” – cytuje we wstępie córka Zuzanna Łapicka. Najtrafniej i jako pierwszy skomentował „marzenie” aktora Wojciech Majcherek: Łapicki „przepieprzył” przede wszystkim sobie. Grał całe życie rolę dżentelmena, po śmierci chciał wreszcie wystąpić w innej roli. Tylko w jakiej?

2.

Wiadomo, że każdy aktor – świadomy ulotności swojej sztuki – pracuje na miejsce w historii i jeżeli temu zaprzecza, to zwyczajnie kłamie. „Nie wierzcie aktorom” – powtarzał często sam Łapicki i miał rację. Narcystyczne *Dzienniki* mogły dzięki ekshibicjonistycznej szczerości obnażyć skrywane za maskami emocje, własne i cudze; pokazać wycinek prawdy o środowisku artystycznym z punktu widzenia jego istotnego uczestnika. To jest prawda często ukrywana za kulisami, która niszczy monolity ze spiżu, ponieważ dotyka ludzkiej małości, zawiści, cynizmu czy koniunkturalizmu. Czy jest to jednak prawda ciekawa?

Aktorzy bardzo lubią grać w życiu role skromnych. Tym wybitnym to się nawet udaje. Jacy są po zmyciu charakterystyki z twarzy? Janusz Majcherek napisał kiedyś, że w tym środowisku wszyscy wszystko wiedzą najlepiej i wszyscy wszystkich uważają za idiotów. Jeden drugiego utopi w łyżce wody, klęska „przyjaciela” uskrzydla, ale już sukcesu nie daruje mu nigdy. Małość i zazdrość są ludzkimi uczuciami, ale z nakazu kultury są wstydlive, więc wypada je ukrywać. „Antczak leży na morde z *Chopinem*, podobno okropne, stare i nikt nie chodzi. A Pszoniak rozłożył *Dożywocie*, nie do wiary. Nieśmieszne, nudne i ponure. A Gucio [Holoubek – przyp. red.], jako Twardosz, się



AUTOR / ANDRZEJ ŁAPICKI
TYTUŁ / JUTRO BĘDZIE „ZEMSTA”.
DZIENNIKI 1984–2005
WYDAWCA / AGORA
MIEJSCE I ROK / WARSZAWA 2018

sypie. Same sukcesy. Idę do kościoła uderzyć się w piersi z tej radości” – pisał złośliwie Łapicki. Przy innej okazji dodawał: „Robię się okropny na starość. Nigdy nie zazdrościłem, a teraz zmieniam się w Świderskiego. Niedługo będę gonił ludzi z nożem po ulicy”. Cóż, w ostatniej chwili ratował się ostrzem autoironii. Tylko że wydawała się ona nieszczerą. Łapicki dobrze wiedział, że dystans zawsze jest w cenie. Ale lektura *Dzienników* nasuwa przypuszczenie, że dystans Łapickiego był elementem wykreowanego wizerunku. Pod spodem kipiały emocje, a wiecznie niedopieszczony ego dopominało się o swoje prawa.

3.

Dzienniki zakończył pisać po śmierci pierwszej żony w 2005 roku, a rozpoczął w 1984 – po stanie wojennym i zdławieniu pierwszej „So-

lidarności” przez juntę generała Jaruzelskiego. Pisał już wcześniej, zarówno felietony publikowane w „Teatrze”, jak i *Notatki rektora* w czasie wojennym. W 1984 roku wciąż jeszcze pełnił funkcję rektora PWST. Jeżeli mierzyć miarą przyzwoitości stosunek Andrzeja Łapickiego, ówczesnego działacza opozycji, jego magnificencji, do władz schyłkowego PRL-u – byłaby to miara wysoka. Nie przekroczył granicy kompromisu, poza którą nie mógłby spojrzeć w lustro. Mało spektakularny zapis zmagania Łapickiego z prowokacjami komunistów, usiłującymi skłócić go ze środowiskiem, pozostanie cennym dokumentem końcówki parazytywnej epoki.

Rok 1989 przyniósł Łapickiemu zwycięstwo w pierwszych częściowo wolnych wyborach. Został posłem z ramienia „Solidarności” w sejmie kontraktowym. „Wybrali cię na całym świecie, co przy tym jakaś rola” – powiedziała mu Maja Komorowska. Podczas jednego z posiedzeń zgłosił interpelację w sprawie Katynia. „Stwierdziłem, że to, co usłyszeliśmy, jest zajęciem przez rząd oficjalnego stanowiska – że Katyń to dzieło stalinowskiego NKWD. Potem powiedziałem o wdowach, które tyle lat żyją w cieniu Katynia, a były dwudziestoletnimi dziewczynami żegnającymi swoich mężów, młodych podporuczników idących na wojnę, którzy skończyli w Lasku Katyńskim. [...] Po raz pierwszy oficjalnie przyznano, że Katyń to Ruscy” – zapisał. Kilkanaście miesięcy później został prezesem zjednoczonego Związku Artystów Scen Polskich. Tymi aktami przechodził do historii jako działacz i polityk, reprezentant odbudowywanego społeczeństwa obywatelskiego.

Jednak rzeczywistość władzy szybko go znużyła, kulisy politycznych gier i układów mocno rozczarowały. W *Dziennikach* nie szczędził nikogo. Obecność postkomunistów w życiu publicznym bolała go najbardziej. Po wygranych przez SLD wyborach w 1993 roku komentował: „Katastrofa większa, niż się spodziewałem. Naród po mszy wstał z klęczek i oddał głosy na komunę. Naród pijacków

Łapicki miał odwagę – jeżeli po śmierci można ją w ogóle mieć – być brutalnie szczerym w ocenie ludzi, zjawisk, czasami samego siebie. *Dzienniki* są festiwalem animozji, summą frustracji i niespełnienia.

i kundli. Byle kaszanka była tańsza. Cóż za wstrętne miejsce. *Anus mundi*. I jak tu coś robić? Nic się nie chce, znowu te mordy w telewizorach, znowu ci towarzysze. I to, czego Bierut nie osiągnął wyrywaniem paznokci, tu stało się dobrowolnie”. Krytykował z naiwnej pozycji swoje naturalne środowisko: „Unia [Demokratyczna] prowadzi niezrozumiałą politykę. Wystąpiła przeciw uznaniu stanu wojennego za bezprawny i przeciw potępieniu UB i MBP. Nic nie rozumiem”. W innym miejscu zionął na ustawę lustracyjną przeprowadzoną przez prawicę, przy okazji dowodząc, że nie bardzo rozumie jej ideę: „A tu bagno – wymyślili uchwałę przeciwko ubekom, każdemu to można przypisać, kto jest z innej partii”. W końcu stwierdził: „Umieram już z tej polityki. Czuję się jak w fabryce marmolady. Na większości spraw się nie znam, a siedzieć muszę. Przez 45 lat zajmowałem się teatrem, czyli sobą, a teraz muszę się znać na wszystkim”. Postanowił skrócić sobie te męki. Porzucił więc role społeczne dla wypróbowanego kostiumu komedianta.

4.

Ale ani praca w teatrze, ani w szkole teatralnej nie przyniosła mu już satysfakcji. Albo inaczej: jednego dnia oddawał się jej z radością i poczuciem sensu, drugiego – czuł się zniechęcony do całego świata, żył w poczuciu klęski swoich wyborów („Miazga. Wszystko rozbite, bezkształtne. Na czymś to polega, że straciłem swój jeżeli nie zapał, to chociaż wiarę w celowość tego, co robię”). Łapicki w ogóle często się wszystkim nudzi na kartkach *Dziennika*, chwilami trudno oprzeć się wrażeniu, że narcyz jest zmęczony także samym sobą. Z aktorstwa postanowił się wycofać w 1995 roku, po jubileuszu pięćdziesięciolecia pracy scenicznej. Tutaj intuicja go nie zawiodła. Nie mógł nigdy mierzyć się ani z Tadeuszem Łomnickim, ani z Gustawem Ho-

loubkiem. Emploi wiecznego amanta i ograniczone możliwości wyłączały aktora z poważniejszych zadań na scenie. Był tego w pełni świadomy, dlatego dwukrotnie w tym czasie odrzucił propozycję występów w sztuce Françoise Sagan o intrygującym tytule *Omdlały koń*. Styl gry, którym zasłynął, nigdy nie był szczególnie w cenie, a już zwłaszcza w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, w dynamicznie zmieniającym się teatrze. Stał się po prostu anachroniczny. Łapicki potrafił lekko, błyskotliwie prowadzić dialog w komedii salonowej, dobrze skrojonych angielskich sztukach, francuskim bulwarze. Jego nieszczęście polegało na tym, że minął się ze swoim czasem. W Polsce aktor z manierami dżentelmana najlepiej prosperowałby przed wojną. „Jestem aktorem od kanapy i dwóch par drzwi” – żartował. W wywiadach snuł opowieści o tym, jak inteligencja przeszkadzała mu w aktorstwie. Zdolniejszym od niego jakoś nie przeszkadzała. Nie chciało mu się grać, więc wymyślił aktorstwo z dystansem. Tylko żeby teatr był żywy, przejmujący do bólu, musi się narodzić z krwi i potu. Trzeba mu oddać wszystko. Łapicki na scenie nigdy się nie spocił.

Porzucił aktorstwo, namaszczony przez Aleksandra Bardinię został „strażnikiem Fredry” i reżyserem kolejnych sztuk hrabiego. Nie poszedł jednak ani drogą Jerzego Kreczmara, który dokonywał dyskretniej rewizji tradycji interpretacyjnej, ani rewolucyjną ścieżką Grzegorza Jarzyny. Dzięki wybitnym aktorom, po fredrowskich przedstawieniach Łapickiego pozostało kilka ról: Joanna Szczepkowska jako Aniela w *Ślubach panieńskich*; Ignacy Gogolewski jako Rejent Milczek, Damian Damiński jako Papkin, Wiesław Michnikowski jako Dyndalski w *Zemście*, przedstawieniu, które było ukoronowaniem dyrekcji Łapickiego w Teatrze Polskim. Szkoda, że poza zdawkowymi uwagami nie poświęca im więcej miejsca w *Dziennikach*.

Dyrekcję teatru objął w 1995 roku. Liczył już wtedy ponad siedemdziesiąt lat. Jeżeli coś naprawdę kompromituje Łapickiego w tych zapiskach, to jego pomysł na ten teatr i uwagi estetyczne dotyczące przedstawień kolegów. Jerzego Grzegorzewskiego nie rozumie, a więc nie toleruje, nazywa reżysera „hochsztaplerem”, a jego *Noc listopadową* – „czterema godzinami popisów grafomańskiej paranoi”. O kanonicznym *Ślubie* Gombrowicza w reżyserii Jerzego Jarockiego napisał: „Już nie znoszę tej sztuki. Przedstawienie perfekcyjne, ale, po pierwsze, Radziwiłowicz nadęty, bez wdzięku, a po drugie i najważniejsze, Gombrowicz to psotny gimnazjalista, i tak go trzeba grać. To nie jest wielka literatura, więc nie można z niej robić *Dziadów*. Kto to wreszcie zdemistyfikuje?”. Jak do tej pory nikt się nie odważył.

Jako dyrektor teatru marzył o reżyserach bliskich mu pokoleniowo: Andrzejowi Wajdzie i Jarockim, rozmawiał z Krzysztofem Nazarem i Maciejem Prusem. Ostatecznie tylko Prus reżyserował w Teatrze Polskim. Dyrektor Łapicki nie miał konkretnego programu (poza uczynieniem z Teatru Polskiego „domu Fredry”), wiedzy na temat pokolenia młodych reżyserów, nowej dramaturgii. Został mu więc park jurajski. „Zdecydowałem, że po *Coctail party* Prusa pójdzie *Polityka* Perzyńskiego. Doznałem iluminacji: to jest świetne, o sejmokracji w 1924 roku. Zupełnie jak dzisiaj”. Czy można tak było prowadzić teatr? Okazało się, że można; wystarczyło go watować uznanym nazwiskiem.

5.

Wartość swojego nazwiska Łapicki obniżył rażąco we wczesnej młodości, czego konsekwencje ponosił do końca życia. „Znowu ten głos zza grobu, kiedy już wszyscy zapomnieli. I znowu ten cień na mnie zachodzi” – napisał przy kolejnej emisji Polskiej Kroniki Filmowej. Pełnił funkcję jej lektora w najmroczniejszych

Styl gry, którym zasłynął, nigdy nie był szczególnie w cenie, a już zwłaszcza w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, w dynamicznie zmieniającym się teatrze. Stał się po prostu anachroniczny. Łapicki potrafił lekko, błyskotliwie prowadzić dialog w komedii salonowej, dobrze skrojonych angielskich sztukach, francuskim bulwarze. Jego nieszczęście polegało na tym, że minął się ze swoim czasem. W Polsce aktor z manierami dżentelmena najlepiej prosperowałby przed wojną.

czasach stalinowskich. Przypominanie tego faktu doprowadzało aktora do wściekłości. „Popełniłem największy błąd swojego życia” – przyznawał. Był zbyt inteligentny, żeby nie wiedzieć, w co się wpakował. Nie był chłopakiem z awansu, którym władza ludowa mogła dowolnie manipulować. Był synem profesora prawa rzymskiego, który przez kilka lat legitymizował swoim entuzjastycznym głosem mordczy system. Ten głos został utrwalony nie tylko przy propagandowych bredniach o zrzućeniu amerykańskiej stonki, ale i przy odczytywaniu wyroków śmierci na antykomunistyczne podziemie.

„Może to przykry dla pana temat, bo niektórzy to panu wypominają, ale ja uważam, że b. dobrze pan robił, czytając komentarze w Kronice. Po prostu wykonywał pan swój zawód, a dzięki pana obecności nawet ostre teksty stawały się strawniejsze” – powiedział Łapickiemu w rozmowie ówczesny premier RP Jerzy Buzek. Jak się więc okazało, przy samym poruszaniu tematu historycznej PKF kompromitowali się też inni.

6.

Dostaliśmy ponad pięćset stron drobiazgowych zapisków, relacji z działalności, zawodowej i prywatnej, ze szczególnym uwzględnieniem obiadowych i kolacyjnych menu. Na powierzchni zostało trochę pożywki dla tabloidów – organiczna, obsesyjna niechęć bohatera do Gustawa Holoubka, na granicy paranoi

(„Nikt mi tak w życiu nie zaszkodził jak on. [...] Zniszczył mi życie”); kompromitujący portret byłego zięcia – Daniela Olbrychskiego. Była żona, jedna z edytorów *Dzienników* – po latach upokorzeń – na pewno ma satysfakcję. Poza wszystkim jest jedną z nielicznych bohaterek pozytywnych publikacji – obok wnuczki Weroniki, Kościoła katolickiego (oddanego sojusznika Łapickiego) i przyjaciela Tadeusza Konwickiego. Ale nie czynię z tego zarzutu.

7.

Zażenowanie pojawia się po lekturze tekstu na drugiej stronie okładki. „Tadeusz Łomnicki powiedział kiedyś: – Zazdrość publicznosci, która ogląda mnie w *Karierze Artura Ui*. Andrzej Łapicki mógłby powiedzieć więcej: – Zazdrość publicznosci, która ogląda mnie w czymkolwiek. Dlaczego mógłby? Bo był znakomitym aktorem o zabójczej prezencji, świetnie wychowanym synem profesora prawa rzymskiego, który czuł się naturalnie nawet w najwytworniejszym towarzystwie”. Zazdrość dobrego samopoczucia autorowi tej noty. Zestawienie aktorstwa Łapickiego z Łomnickim śmieszy samo w sobie, ale już postawienie Łapickiego ponad Łomnickim w połączeniu z powyższym uzasadnieniem zwala z nóg; jest pomieszaniem hierarchii, za-protestowałby przeciwko temu zapewne sam autor *Dzienników*. Najbardziej jednak jest dotkliwy brak jakiegokolwiek informacji na temat zasad wydania. Nie wiemy, czy dostaliś-

my kompletny zapis *Dzienników*, czy też materiał wyselekcjonowany. Jeżeli w ruch poszły nożyce, to *Dzienniki* Łapickiego mogą być dokumentem bez wartości.

8.

Hipokryzja w aktorskim środowisku – zostaliśmy przy nim – jest normą obowiązującą. Co innego się mówi, co innego się pisze. Co innego się deklaruje, co innego robi. Można bezkarnie gardzić kimś, żeby po jego śmierci bezwstydnie lać łzy w mediach; wygłaszać egzaltowane mowy pogrzebowe, przy których mówcy – aktorzy wzruszają się własnym wzruszeniem. Przestrzegają przy tym jednej zasady: *de mortuis nil nisi bene*. Ale „bene” oznacza dla nich zawsze stawianie pomników bez skazy. Nie znają żadnych granic w tym błaznowaniu. Świat jest teatrem, ale nie musi być kłamstwem. Łapicki miał odwagę – jeżeli po śmierci można ją w ogóle mieć – być brutalnie szczerym w ocenie ludzi, zjawisk, czasami samego siebie. *Dzienniki* są festiwalem animozji, sumą frustracji i niespełnienia; wylewem żółci na życie i świat, wzrastającym z upływem czasu. Starość ma ten swój przywilej; szkoda tylko, że w tym wypadku okazała się tak bezrefleksyjna.

9.

„Jakie to szczęście, że już nie jestem aktorem. To zawód dla głupców i zboczeńców” – zapisał na jednej ze stron Łapicki. Jedną część tego zdania musiała być nieprawdziwa. ■